BŁYSKI

PISEMKO
UCZENIC PRYW. SEM. NAUCZ. ŻEŃSKIEGO T. S. L.
im. Fr. PREISENDANZA W KRAKOWIE.

Stary i Nowy.

Znów jeden mija rok,
jak tyle innych lat:
w otchłaniach czasu nowy krok
wykonał naprzód świat.

Prawieczny bije dzwon
Staremu pożegnanie
spiżowem sercem bije on,
Nowemu powitanie!

Smutny odchodzi Stary Rok,
chyląc ku ziemi siwą głowę,
powolny, chwiejny jego krok.
Na tronie miejsce już gotowe.

Zajmie je nowy Król,
otoczon nimbem wiary,
że smutek, troski, ból,
to dawał tylko stary!

Nowy nie będzie taki zły:
ukoi troski, bóle;
przez Stary wyciśnięte łzy
ten Nowy otrze czule!

Idzie! Przez wszystkich wraz
radośnie przyjmowany,
by odejść, kiedy minie czas
bez żalu pożegnany.

Znów jeden minie rok,
jak przeszło tyle lat:
w otchłaniach czasu nowy krok
wykona smutny świat.

Stanisława W. (Olewiec)

Nasze Kolendy.

I.

Pasterka! Kościół, jasno oświetlony, szeroko rozwarł podwoje, zapraszając do wnętrza. Ludzie, zgromadzeni w kościele, modlą się cicho w oczekiwaniu cudu, który stanie się za chwilę, kiedy:

Dziecię, Jezus zejdzie z nieba,
By łaknącym podać chleba—
By cierpiącym życia słodzić,
By ze Stwórcą świat pogodzić.

Rozpoczęła się msza święta. Głębokie akordy organów rozebrzmiały, a pośród nich, niby złota nić, przewija się melodja kolendy. „Wśród nocnej ciszy". Lud śpiewa. Kolenda rozlega się coraz silniej, coraz donośniej. Dźwięczy w niej radość, nadzieja, chęć oddania Dzieciątku należnej czci. I płyną uroczyste tony w cichą, spokojną noc, w rozjaśnioną dal—do szopy betleemskiej.

Potężnie rozbrzmiały słowa: „Bóg się rodzi, moc truchleje". Cud spełniony! Bóg przyjął na siebie ciało i wszedł między lud, aby dzielić z nim trudy i znoje, aby zbawić ludzkie plemię. Z tej kolendy przebija się obok radości smutek i uznanie swoich win.

I znowu lud śpiewa: „Jezus malusieńki leży wśród stajenki". Smętna melodja zda się łkać... Użala się nad Dzieciątkiem zmarzniętem, któremu matula nie dała sukienki, gdyż ubogą była. By wynagrodzić Mu cierpienia i znoje, lud oddaje w ofierze serca swe, rozpalone świętą miłością. I ciepłem swoich serc ogrzewając Boską Dziecinę, śpiewa: „Lulajże Jezuniu", prosząc Matkę Bożą, aby Go utuliła i czuwała nad Jego snem.

Radość coraz większa wzbiera w sercach ludzkich. Śpiewem rozgłaszają wierni: „Wesołą nowinę", że niebiańska Dziecina zeszła na ziemię. Szukajcie gdzie Dziecię Jezus się znajduje, by Mu oddać cześć i chwałę za to, że zstąpił na ziemię niosąc ludziom miłość i pokój. I oto kolenda: „Przybieżeli do Betleem pasterze". Oddali swe pokłony i dary w pokorze i z serca ochotnego przepełnionego miłością zaśpiewali: „Chwała na wysokości, chwała na wysokości, a pokój na ziemi."

„Pójdźmy wszyscy do stajenki" powitać Dzieciątko i Marję Matkę Jego. Złóżmy Mu ofiarę serc naszych i uznajmy w Nim Boga narodzonego. Chodźmy w cichą, świętą wigilijną noc do stajenki betleemskiej, by rozpalić serca nasze miłością w płomieniach nowego Wschodu.

S. Krzykówna IV. kurs.

II.

Nigdzie niema tak wielkiej ilości kolend, jak w Polsce. To bogactwo pieśni o Bożem Narodzeniu, pieśni przez lud ułożonych i przekazywanych z pokolenia w pokolenie — wypływa z głębokiej, prawdziwej pobożności polskiego ludu. Niektóre z kolend mają charakter poważny i uroczysty n. p. „Anioł pasterzom mówił" lub „Bóg się rodzi" — inne zaś są lekkie i wesołe, jak wiejskie piosenki weselne n. p. „Przybieżeli do Betleem pasterze". Wszystkie cechuje wielka obrazowość: śpiewając niektóre kolendy, widzimy pasterzy, szopkę z podziurawioną strzechą, żłóbek, a w niem świętą Dziecinę w otoczeniu Marji, Józefa i przybyłych przed chwilą Trzech Króli z okazałą świtą. To znów inny obraz staje przed oczami wyobraźni: rozległe pastwiska a na nich trzody, których strzegą chłopaki, zabawiający się grą na multaneczkach, jak w kolendzie: „Przy onej górze". Treść kolend jest zupełnie przystosowana do warunków klimatycznych naszego kraju. Lud tworząc swe pieśni na cześć Nowonarodzonego zupełnie nie liczył się z tem, że Pan Jezus urodził się w kraju, gdzie niema różnicy temperatury latem i zimą. Współczuje z Boską Dzieciną i tak śpiewa: „Jezus malusieńki leży wśród stajenki. Płacze z zimna — nie dała mu Matula sukienki". A pasterze nie chcą wyjść z szopy i śpiewają: „Jakże Cię odejdziem pociecho nasza w tak okropne mrozy idąc do lasa?„ Lud wierzy, że zwierzęta odczuwają świętość wigilijnej nocy, każe więc im przemawiać ludzkim głosem do małego Jezusa, owce uskarżają się przed Nim na wilki, te znów w pokorze przepraszają Pana.

Chłop polski upodabnia świętych do siebie i wyobraża, że oni też w pocie czoła rolę uprawiają, a kolendy na swój sposób przerabia dostosowując je do zajęć rolnika:

...Mości gospodarzu—niebieski szafarzie...
...Święty Paweł orze płużkiem po ugorze...
...Najświętsza Panienka śniadanko mu niesie
Hej a hej!

W kolendach uderza nas wielka poufałość, z jaką odnoszą się pasterze do św. Rodziny. Po chwilowem ośmieleniu przy składaniu darów, zaczynają śpiewać, tańczyć, grać na wszelkiego rodzaju instrumentach, aż św. Józef musi prosić Kubę, żeby przestał śpiewać, bo się Dzieciątko przestraszy. Pasterze czują się równymi aniołom, tak bowiem staremu Maciejowi powiedział archanioł, oznajmując wielką nowinę: Nie bój się, nie bój, Maćku — staruszku! Jesteś ty, jestem ja u Boga służką. Jednak ta poufałość nie razi, bo jest wynikiem prostoty i naiwności pasterzy.

Nasze kolendy są pełne tej prostoty i ufności w dobroć Bożą. Każdy je śpiewa z jednakową radością. Biednego kolenda ukaja w troskach, podnosi do stóp Jezusa, sprawia, że człowiek nie czuje się tak nieszczęśliwym i opuszczonym; bogatego bobudza do miłosierdzia i ofiarności na rzecz ubogich. Kolendy są tak pełne czaru, że najtwardsze serca potrafią rozczulić. Każdy je śpiewa z równą mocą i siłą, a starzy przekazują te, już po przodkach odziedziczone pieśni — dzieciom i wnukom, w tem przekonaniu, że dopóki istnieć będzie nasza kolenda, pobożność ludu niewzruszenie trwać będzie.

A. Cyganikówna IV. kurs.

Noc zimowa.

Była późna godzina. Księżyc puculowatą swą twarzą zdawał się patrzeć z zadowoleniem i rzucać swe dobrotliwe uśmiechy z nieba na wszystkie zakątki zmarzniętej ziemi. Tylko on jeden z figlarnemi gwiazdami wędrował i wędrował niezmęczenie. Poza tem panował niezmącony spokój. Świat zdawał się być w letargu. Przyroda nagle zaniemówiła, chowając się pod biały całun śniegu, którego płatki skrzyły się i mieniły stubarwnie. W powietrzu wisiała jakaś uroczysta cisza. Gdzieś w dali, na wzgórzu, otulony w biały, miękki płaszcz, stał krzyż, rozpościerając ramiona nad śpiącem światem. On jeden czuwał...

I cicho było...

Nagle zmącił ciszę pobrzęk dzwonków. „Dzyń, dzyń, zadźwięczały srebrne tony „dzyń, dzyń" odpowiadało echo i ginęło gdzieś, w białym puchu śniegowym. Na drodze ukazały się sanie, coraz głośniej słychać było brzęk dzwonków i żwawe rżenie koni. „Dzyń, dzyń" drżało srebrzyście w powietrzu. Sanie mknęły po skrzącym śniegu, który wylatywał z pod kopyt końskich, a konie rżały radośnie. Ale sanie przemknęły, dzwonki brzmiały już słabiej, coraz cichsze dolatywało parskanie koni, aż hen—daleko zamarło i znowu cisza zawładnęła ziemią. Przez chwilę spokój panował zupełny. Aż znowu skądś doleciały zmieszane jakieś głosy, potem ciche jakby nieśmiałe nucenie. Przez drogę sunęły długie cienie. Głosy dolatywały coraz mocniejsze, tak że i rozmowy można było usłyszeć i słowa cichej pieśni, która chociaż mało melodyjna, zdawała się prawie piękną, płynąc wśród czystej nocy i ginąc w dalekiej przestrzeni. Śpiew przerywały od czasu do czasu nagłe wybuchy śmiechu — chichot wiejskich dziewek i dogadywanie towarzyszących im chłopaków. I brzmiał przez czas jakiś ten śmiech, dźwięczała nuta piosenki

lecz i te głosy oddalać się poczęły coraz bardziej i bardziej, wreszcie umilkły. Cisza zawładnęła polami, których strzegły rozpostarte szeroko ramiona krzyża — a po niebie dalej wędrował niestrudzony księżyc.

Z. H. III. kurs.

W wigilję.

W mroźny dzień wigilijny wybrał się nareszcie Wojciech Grzywa z Poręby. Jako wyrobnik był tu zajęty u bogatego gazdy, a teraz spieszył do Węglówki, do domu, gdzie żona i dzieci czekały na niego niecierpliwie. Już od kilku miesięcy Grzywa do chałupy nie zazierał, więc z tem większą tęsknotą myślał o swoich w ten święty, boży dzień i ruszył w drogę. Podpierając się sękatym kosturem, w starych kierpcach i wytartej guni przepasanej powrósłem szedł jak mógł najprędzej biedny stary Grzywa.

A tu mroźny wiatr hasał po górach i halach, wył po wąwozach i do cna dech w piersi zapierał. Trzeba było często przystawać. Już mrok zapadł zupełny. Zimno przeszywało do kości starego Wojciecha. Zmęczył się, zasapał i już chciał usiąść pod smrekiem, żeby sił nabrać do dalszej drogi, ale wiedział, że gdy siądzie, napewno uśnie i zmarznie na zawsze. Szedł więc dalej, wlokąc za sobą umęczone nogi, które raz po raz odmawiały mu posłuszeństwa. Skręcił w bok przeszedł przez snorę i wstąpił na ścieżkę, która już go miała zaprowadzić do Węglówki. Tymczasem noc nadeszła, mróz się wzmógł i ściskał okrutnie. Stary Grzywa wszedł na wyrąb, gdzie leżały drzewa porżnięte i stosy przypruszone śniegiem. W koło szumiały poważnie świerki. Tak było zacisznie, że umęczony Grzywa nie mógł oprzeć się pokusie zażycia odpoczynku i usiadł na pniu ściętego smreka. Zapalił fajkę i rozglądał się dokoła. Cicho, biało było dokoła, jeno czasem okiść zesunąwszy się z drzewa, ciężko upadała na ziemię. Księżyc wypłynął na niebo, a wiatr gdzieś przycichł. Dobrze było siedzieć Grzywie, nie czuł już zmęczenia, ani chłodu — owładnęła nim senność. Gasnąca w ręce fajka wydawała mu się żarzącym się jeszcze piecem, przy którym ogrzewał ręce. Zaczął majaczyć. Zdawało mu się, że siedzi w izbie przy stole wigilijnym, wokół dzieci i żona — zaraz będą się łamać opłatkiem.

Z tego półsnu wyrwał go okrzyk „Wojtek! Wstaj — zamarzniesz!"

W pierwszej chwili Grzywa nic nie zrozumiał, potem się przeraził, że przed nim zjawa. Ale naprawdę stała przed nim żona jego



i starszy chłopak—którzy wyszli naprzeciw starego, zaniepokojeni, że go tak późno w noc nie widać było.

Poznał Grzywa swoich i witał ich uśmiechem. Zaraz poczuł się silniejszym, przy pomocy syna, zsunął się z pnia, rozprostował kostniejące nogi i za chwilę wszyscy powoli podążyli ku domowi, do którego już nie było daleko. Cała rodzina zasiadła do wieczerzy z ogromnem wzruszeniem, gromadząc się dokoła tego, który cudem uszedł pewnej śmierci.

Taraskówna II. kurs.

Pierwsze kroki.

Postanowiłyśmy pracować społecznie, a że co zamierzamy, to lubimy doprowadzić do skutku, więc projekt został w czyn wcielony. Po długich rozważaniach (o ile my umiemy długo rozważać) udałyśmy się po rady i wskazówki do Księdza Profesora i dzięki Jego pomocy otrzymałyśmy „przydział". Na początek dostałyśmy dyżury w żeńskiej szkole powszechnej na placu Wolnicy, gdzie pobierają naukę najbiedniejsze dzieci. Dziewczynki, zupełnie pozbawione opieki domowej, zbierają się codziennie w ogrzanej klasie i od 4-tej do 6-tej popołudniu spędzają czas na odrabianiu lekcyj. Przed opuszczeniem szkoły dostają podwieczorek.

W poniedziałek 23 stycznia miałyśmy rozpocząć naszą pracę. Na pierwszy ogień zgłosiłam się ja i Zośka J. Puściłyśmy się w drogę o godz. 3.30, a tak byłyśmy zajęte rozmową, dawaniem sobie wzajemnych tysiącznych wskazówek, że mijając pejsatych żydków i grube Rachele, nie czułyśmy wcale zapachu śledziowo—cebulowego, tak charakterystycznego dla zaułków Kaźmierza. Pełne jakiejś szalonej radości doszłyśmy do szkoły. Przed bramą, po długiej ceremonji, która ma pierwsza wejść, (nie wiem, skąd nam się nagle wzięła ta uprzedzająca grzeczność), wygramoliłyśmy się wreszcie na drugie piętro. Tu zapytałyśmy przechodzące dziecko o panią kierowniczkę i dowiedziawszy się że ma przyjść o 4-tej, rozpoczęłyśmy spacer po korytarzu. Niecierpliwość nasza rosła z każdą chwilą—skracałyśmy sobie czas układaniem planów, czem i jak dzieci zajmiemy, a Zośka wyraziła nawet ubolewanie, że nie napisałyśmy sobie elaboratów, któreby tak ułatwiły zadanie. Nasze obawy i rozmyślania przerwało nadejście dziewczynki: Pani Kierowniczka już przyszła! Rzuciłyśmy na siebie spłoszone spojrzenia. Uciekać! Ale oto zdąża ku nam Pani Kierowniczka. Chrząknęłam na Zochę, dając jej znak, by rozpoczęła ułożoną przez nas obie mowę—Milczenie! Tedy, rada nie rada, wyrecytowałam bez namysłu: Jesteśmy z T. S. L., przyszłyśmy i t. d. i t. d.

Pani Kierowniczka z miłym, a nieco pobłażliwym uśmiechem wysłuchała tej deklamacji i oświadczyła, że jedna z nas pójdzie uczyć do klasy 4-tej, a druga – do 1-szej bawić się z dziećmi. Znowu strach nas obleciał, popatrzyłyśmy na siebie—a szare byłyśmy, jak pergamin – i wyczytałyśmy sobie w oczach: „iż cię nie opuszczę aż do śmierci". Pewne byłyśmy, że będziemy razem w jednej klasie! Widząc nasze zgłupiałe, miny, Pani Kierowniczka zapytała: „No! która z pań pójdzie do 4-tej?" Poświęciłam się i rzuciwszy ostatnie spojrzenie ku Zośce, zostałam wprowadzona do klasy i przedstawiona dzieciom. „Zmówi Pani z niemi pacierz i przerobi rachunki. Ja wrócę tu, tylko zajmę się tamtą Panią". powiedziała Kierowniczka i po tych słowach odeszła.

W klasie, gdzie się znalazłam (na swoje nieszczęście), pierwszy rząd ławek zajmowała klasa czwarta A i czwarta B, któremi miałam się zająć – drugi rząd—klasa piąta i siódma, a te miała uczyć Pani Kierowniczka. Zostałam sama, zupełnie bezradna. W klasie był idealny spokój (jak u nas na fizyce), z czego wcale nie byłam zadowolona, bo odpadła mi konieczność upominania a tem samem możność namysłu, zyskania na czasie! Wieszałam tedy powoli płaszcz, chcąc przy nim sama się powiesić, aż przypomniałam sobie o pacierzu – deska ratunku! Ponurym głosem kazałam dzieciom wstać i mówić pacierz, tymczasem rzucałam niespokojne spojrzenia w stronę drzwi. Po modlitwie dziewczynki same przyszły mi z pomocą, przynosząc zadania rachunkowe, które miały do przerobienia. Zrobiło mi się niewypowiedzianie smutno... Odesłałam dzieci na miejsca i zaczęłam przepatrywać zeszyty. Musiałam być ogromnie zdenerwowana, bo najzwyklejsze zadania na dzielenie wydawały mi się zawiłemi zagadnieniami. Wreszcie opanowałam się i wywołałam do tablicy dziewczynkę. Odpowiadała i wyliczyła dość dobrze, lecz, o ile mi się zdaje raczej mechanicznie niż rozumowo. I tak przerabiałam zadanie po zadaniu otrzymując raz lepsze, raz gorsze odpowiedzi. Tymczasem przyszła Pani Kierowniczka i zajęła 5-tą i 7-mą klasę. Przeniosłam się po chwili bliżej ławek i pytałam uczennice tabliczki mnożenia potem dzielenia, wreszcie zaczęłam żartować z dziewczynkami zupełnie zapominając o grobowej minie i ponurym głosie, które mi miały pomóc do utrzymania powagi. Dziewczynki się ośmieliły zapytały mnie, jak mi na imię, a gdy im powiedziałam, rozpływały się w zachwycie. A że to nie jest młodzież naszego pokroju, co tylko w nauce całe szczęście widzi, zaczęły mnie prosić, abym się z niemi zabawiła. Trafił swój na swego! Niby od niechcenia zgodziłam się. Wyprowadziłam dzieci na korytarz, ustawiłam w szereg i zaczęłam pokazywać łamańce. Zachwycone, oznajmiły, że to najcudowniejsze na świecie ćwiczenie! Następnie nauczyłam je śpiewać i wrzeszczące

mniej lub więcej fałszywie: Myśmy przyszłością — wprowadziłam z powrotem do klasy. Dochodziła 6-ta, więc zmówiłam ze swymi pupilkami pacierz i wyszłam po Zochę, o której losach nic nie wiedziałam. Cała czwarta klasa wyleciała za mną z pytaniem, czy jutro przyjdę „Bo panienka jest strasznie dobra!"

Chociaż raz na mnie się poznano!

Z. Hullówna III. kurs.

Kronika.

1 grudnia uczennice kursu V-go zwiedziły Dom Matejki pod opieką p. Dr. Medweckiej.

3 grudnia Kółko artystyczne zwiedziło wystawę w pałacu Sztuki poświęconą wyłącznie pracom Wyspiańskiego. Po przygotowaniu jakie stanowił dla uczennic wieczorek urządzony w listopadzie w świetlicy, uczennice doskonale orjentowały się na wystawie i z dużą korzyścią i przyjemnością spędziły parę godzin wśród bogatej spuścizny wielkiego artysty.

6 grudnia uczennice kursu II-go urządziły z okazji św. Mikołaja wieczorek, wypełniając jego program produkcjami muzyczno — wokalnemi. Na zakończenie wieczorku zjawił się św. Mikołaj z podarunkami. Po skończonej uroczystości uczennice bawiły się wesoło w gry towarzyskie.

Święty Mikołaj był bardzo w tym roku dla naszych uczennic łaskawy, a najdłużej bawił na kursie trzecim. Otrzymałyśmy krótkie sprawozdanie, co się tam działo 5 i 6 grudnia:

Po lekcji francuskiego schodzę dyskretnie do szatni V. kursu, Maryśka za mną, — oglądamy się co krok, aby przypadkiem nie wdepnąć na Zośkę. Zaledwie zdążyłyśmy zamknąć za sobą drzwi, aż tu koleżanki bombardują je, wrzeszcząc w niebogłosy, że wszystko z ganku widać! Nie namyślając się długo, ustawiłyśmy wieszadła z porozwieszonemi na nich płaszczami w poprzek szatni, a zostawiłyśmy na pomieszczenie nas czterech t. j. Maryśki, Janki, Irki i mnie (dobrze, że jestem szczupła!), maleńki kącik, gdzie przy świeczce rozpoczęłyśmy naszą „pracę". Zaczęłam wydobywać z teczki rozmaitości i tłómaczyć koleżankom, co one znaczą. "O! patrzcie! już jest poduszka uszyta i wypchana, a tu berło, tylko uważajcie, bo się rozleci! Był to bowiem ziemniak osadzony na patyku i powleczony staniolą. „No! a to—łom". Nie mogłam mówić dalej, bo mi na to słowo magiczne ślinka do ust napłynęła. Koleżanki zrobiły oczy, okrągłe jak kule i spozierały miłosiernie, raz na mnie, raz na spory

pakunek, który trzymałam w ręce Ale wszystko na nic! Łom był nietykalny.

Miałyśmy przed sobą dużą jeszcze do roboty—naraz słyszymy pukanie. Irka jednym susem znalazła się na wieszadle i wlepiła oczy w szybę. Patrzymy zdołu i widzimy, jak naszej Irusi oblicze się wydłuża, włosy dębem stają, a nogi zaczynają drzeć. Myślałam, że conajmniej djabła zobaczyła! Tym razem był to nasz wójt szanowany, Zośka, która wszędzie, gdzie niepotrzeba, swój „grecki" nosek wsadzić musi. Spostrzegła Irkę, domyśliła się, że i my dwie w szatni jesteśmy i coś knowamy—orzekła tedy, że się nie ruszy ze szkoły aż my nie wyjdziemy. Byłyśmy wściekłe ale tem spiescniej kończyłyśmy przygotowania—tylko w jaki sposób zanieść to wszystko na górę, kiedy tam wójt z podwójcim coś dla całego kursu obmyśla!

W tem ciężkiem strapieniu przyszła nam z pomocą Rózia(!). Zjawiła się, żeby nas wyprosić swoim zwyczajem—ale uderzyłyśmy tym razem w pokorę: Róziu! Na naszym kursie jest nasz wójt i jeszcze kilka koleżanek — a my tu właśnie Zośce przygotowujemy Mikołaja i musimy dziś to wszystko do klasy zanieść. Proszę iść wyrzucić je a my zgasimy świecę i zamkniemy się na klucz, bo one nas szukać będą!" Rózia uległa, jak nigdy, naszym prośbom i w chwilę potem siedząc bezczynnie i po ciemku—usłyszałyśmy jej podniesiony głos na górze. Efektu nie było żadnego! Trudno! wójt ze świtą musiał też swoją robotę skończyć.

Czekałyśmy jeszcze, zbyt długo to jednak trwało. Wysunęłam się nareszcie cichutko z szatni, przekręciłam klucz w zamku, a za chwilę byłam z powrotem z zapaloną świecą i nie pozwoliłam jej zgasić. Już dochodziła 7-ma—nie można było czasu tracić. Ale światło widać przez szyby w drzwiach! I na to znalazła się rada. Wepchnęłam Irkę do paki, wpakowałam się za nią i nakryte papierem, miałyśmy dalej pracować, kiedy usłyszałyśmy, jak z góry zleciały z wielkim krzykiem nasze koleżanki, zatrzymały się pod drzwiami, a nie widząc światła, popędziły dalej i za chwilę były już za bramą.

Jesteśmy wolne!

Znowu weszła Rózia, nagląc nas do pośpiechu: „No! jus posły. A ze świcką sukały panienków po skole. Ale teroz spiescie sie, bo jo ni mom casu!"

Czemprędzej ukończyłyśmy przygotowania i w tryumfalnym pochodzie posunęłyśmy na górę: Janka naprzód ze świecą, potem ja z poduszką, na której spoczywało berło, korona i jabłko (odznaki władzy wójtowskiej), za mną Irka z łomem, wreszcie Rózia pobrzękująca z zadowoleniem pękiem kluczy.

Wszedłszy na kurs — jako bardzo dyskretne, podglądnęłyśmy tylko trochę figle Zośki, złożyłyśmy na jej pulpicie poduszkę i łom i przypięłyśmy kartkę z wierszem, którego ostatnie dwie zwrotki tak brzmiały:

A na znak swojej władzy
Przyjm jabłko, berło i tjarę,
Które sprowadzą Ci kursu
Poszanowanie i wiarę.

Zaś na osłodę życia
Twego ogromnie ciężkiego
Daję Ci „łomu" kawałek
I śliczną rózgę do niego!

Następowała uwaga: W razie, gdybyś nie mogła dać sobie rady z kursem, powołaj do natychmiastowej interwencji rózgę, którą Ci św. Mikołaj ofiaruje.

I. Niklówna

Zamyślona, przychodzę do szkoły. Trudno! śniegu nie ma i św. Mikołaj nie mógł sankami zjechać z nieba; nie wiem, czy tam są w użyciu samoloty—zresztą, Staruszek ogłuchby od huku motoru... A może jeszcze zdecyduje się zjechać na ziemię, gdzie go tak oczekuję! Wszak w niebie kryzysu niema, więc nie tak trudno byłoby o podarunki... Chyba nie zdążył jeszcze zajść do mnie?

Jakże zostaję olśniona, gdy weszłam do klasy. Pustki tu jeszcze panują ale rozgościł się już jakiś nastrój uroczysty! Na ławkach bielą się kartki papieru, obok nich—rozmaitości poukładane!

Co to? podchodzę do swego pulpitu i odczytuję: „od św. Mikołaja", tuż przy kartce leżą dwa białe kołnierzyki. To wspaniałe! Już św. Mikołaj spostrzegł, że w ostatnich dniach, zamiast obowiązującego białego kołnierzyka, wkładałam marynarski (nie wyrażając tem bynajmniej nadmiernej do floty sympatji.)

Więc do szkoły przyszedł św. Mikołaj! I słusznie, mniej miał trudu, zostawiając tu podarunki dla 37 „słońc klasy", aniżeli chodząc w słotną noc po rozmaitych zakamarkach Krakowa i okolicy.

Doskonale trafił do każdej z nas!

Zocha, wójt klasowy, prowadząca nas po spartańsku, chociaż w niej samej psotnik — chochlik siedzi, została obdarzona berłem, korony i jabłkiem, jako odznakami piastowanej godności — i trzema kawałami łomu czekoladowego, czem jednak musiała z nami się podzielić.

Marysi zostawił św. Mikołaj takie życzenie:
Mogłabyś już skończyć ze swem przymusostwem?
Zrobić mi przyjemność i raz zostać osłem.

Klasa się wypełnia roześmianemi i zdziwionemi koleżankami.

Irka zastaje na swej ławce siatkę. Kogo w nią łowić będzie? Ale siatka rwie się niefortunnie..

Oleńce, o mowie nad miód słodszej, św. Mikołaj ofiarował lukrecję, (przezornie zapobiegając ewentualnemu brakowi słodyczy).

Marylka, cierpiąca na niestrawność umysłową, dostała paczkę z szałwją z przepisem zażycia w pozycji „głowodolnej".

Luśka—nasz sufler przewspaniały—otrzymała kłódkę i polecenie użycia jej. Na tem tle toczą się gorące obrady: czy ma zastosować się do nakazu, czy zaczekać do końca półrocza? Anuż któraś z „denerwujących się przy odpowiedzi" koleżanek zrobi smutną minę, albo szepnie: S. O. S. czy: „pomoc dajcie mi rodacy!" — a Luśka nie przyjdzie z „pomocą koleżeńską"? Będzie miała potem wyrzuty sumienia.

Duśka znalazła u siebie na ławce dość dobrą szminkę, której użyła natychmiast z niezłym rezultatem. (Stale ma bardzo blade wargi)

Stasi, stale bielącej (faryzeusz!) swą alabastrową twarzyczkę, dostał się funt mąki „nulki".

Ruch w klasie nie do opisania! Wójt obleka się w uroczystą minę ale to niewiele pomaga. Rozgorączkowane koleżanki biegają jedna do drugiej i wykrzykują uwielbienia na cześć św. Mikołaja.

Jadźka — Trzaseczka morduje bułkę z ćwierćmetrową kiszką, czytając karteczkę z życzeniami przybycia na wadze.—(W to wątpimy.)

Jaśka—mieszkanka Wieliczki, rozwija torebkę z 5 dkg. cukru, danemi jej na osłodę dojeżdżającego żywota.

Zdawało się, że nic nie będzie w stanie uspokojenia entuzjazmu klasy. Dokonał tego dzwonek. Za chwilę Pan Dyrektor rozpoczął lekcję. Jedno miejsce w pierwszej ławce — nie zajęte. Na pulpicie czeka na największego w klasie żarłoka i gadułę — ogryziona bułka ze śledziem i półmetrowy język. W sekundę po dzwonku wchodzi Hela, zajmuje swe miejsce i ogląda z oburzeniem podarunki. Gdy sądząc, że nikt tego nie zobaczy, dyskretnie zajrzała do lusterka czy św. Mikołaj nie pomylił się w ocenie długości jej języka, — nie zdążyła prawdopodobnie dojść do żadnego wniosku, bo została wywołana do odpowiedzi.

H. Komenzianka.

7 grudnia nasze sodaliski urządziły osobno „Mikołajka"

Sprawozdanie: Dziś w świetlicy po południu św. Mikołaj!—lotem błyskawicy przebiegła wieść po wszystkich kursach. Na pauzach tylko o tem rozprawiałyśmy, układając i dobierając „najwyszukań-

szych“ rymów do wierszy podarunkowych. Rezultaty były olśniewające, n. p.:

Dla sklepikarki Zosi
św. Mikołaj pióro przynosi.

(W tym dwuwierszu co za liryzm...)

Albo to:

Litując się, Marysiu, nad Twą fryzurą
zawsze tak strasznie roztrzepaną,
daję Ci grzebień i lusterka,
byś modniej już była uczesaną.

(Wzniosłość poezji dotychczas nie spotykana.)

Jednak po wygładzeniu i poprawkach wierszu okazały się zupełnie możliwe, a zgoła zdumiewającą była ich liczba.

Po południu spieszyłyśmy do świetlicy, usychając z ciekawości. Niektóre koleżanki dostały dreszczów, bojąc się usłyszeć trochę kompromitującego kazania od św. Mikołaja... Z zaciekawieniem przypatrywałyśmy się wspaniałym przygotowaniom do uroczystości. Gdy zaś św. Mikołaj wszedł ze swą świtą i zaczął rozdzielać dary, byłam w obawie, że mury świetlicy się rozpadną od szalonego śmiechu i radości, która nas wszystkie ogarnęła!

Niespodzianki były ogromnie dowcipne, a na kryzys dzisiejszy wspaniałe.

Mnie dostała się świetna kremówka (szczyt marzeń i apetytowych westchnień.) Znikła więc z horyzontu w jednej setnej minuty! Okazało się, że nie byłam w sympatji do kremówek odosobniona — inne koleżanki też swoją porcję dostały.

Po wesołej zabawie rozeszłyśmy się wesoło do domu, dziwiąc się, jakim cudem św. Mikołaj potrafił zdobyć tajemnicę skrytych pragnień każdej z nas? I każdą najłaskawiej zadowolnił!

W. Srożanka IV. kurs.

17 grudnia uczennice IV. kursu były na koncercie szkolnym, poświęconym twórczości Paderewskiego, Karłowicza i Galla.

21 grudnia uczennice wszystkich kursów pod opieką Pań Wychowawczyń udały się do teatru na przedstawienie szkolne „Wesela“ Wyspiańskiego.

21 grudnia po południu odbyła się w szkole uroczystość Gwiazdki, która rok rocznie urządzana bywa przez uczennice IV. kursu. I w tym roku dokoła jarzącej się choinki zebrały się uczennice zakładu i Grono nauczycielskie, aby przełamawszy się opłatkiem, złożyć sobie nawzajem życzenia świąteczne. Wieczór wypełniły śpiewane chórem kolendy i okolicznościowe deklamacje. Jedna z uczennic IV. kursu w imieniu koleżanek złożyła życzenia Panu Dyrektorowi i uczącym, i z serdecznemi słowami zwróciła się do koleżanek kursu V-go

które już po raz ostatni brały w tym roku udział w tej miłej uroczystości szkolnej.

22 grudnia po skończonych lekcjach zostały rozdane świadectwa półroczne i uczennice opuściły zakład na trzytygodniowe ferje świąteczne. Korzystając z długich wakacyj, mogły robić dalsze wycieczki.

Wycieczka w Pieniny.

Na pożegnanie Krakowa: Czuj!! Czuj! Czuwaj! Taki okrzyk wyrwał się z naszych piersi, gdy pociąg Kraków—Zakopane powoli opuszczał stację. Ostatnie spojrzenia z okien wagonu na majaczące w dali wieżyce kościołów, na ostatnie, coraz szybciej niknące domy przedmieść, wszystko ginie z oczu, a pociąg unosi nas ku przepięknym okolicom, które chociaż znane już, zawsze są pełne uroku i nowości.

Wśród śpiewu, gwaru i śmiechu czas szybko minął, — pociąg sunął całą parą naprzód, wreszcie zatrzymał się na stacji Nowy Targ.

Na peron wysypała się garstka naszych dziewcząt, ja zostałam jeszcze i czem prędzej opróżniłam oba zajmowane przez nas przedziały, wyrzucając wypchane plecaki przez okno, wreszcie wyleciałam sama, jak bomba, z wagonu w ostatniej chwili przed odejściem pociągu. No! połowa drogi już była zrobiona, czekała nas jeszcze druga połowa i mniej wygodna, bo furami 30 km.

Ale nie było na to rady, więc raźno władowałyśmy się na przygotowane furmanki, otuliłyśmy się kocami i jazda!

Było około godziny 4-tej popołudniu. Powoli ostatnie promienie zimowego słońca skryły się za horyzontem, a z przeciwnej strony wynurzyła się z za chmur srebrna twarz księżyca.

Po kilku godzinach dość męczącej jazdy dotarłyśmy do Pienin właściwych. W ciszy — spowodowanej li tylko wyczerpaniem się naszego repertuaru chóralnego—mogłyśmy podziwiać urok i piękno skalistych brzegów Dunajca, którego wartki nurt kryła miejscami powłoka lodowa.

Zamajaczyły w dali poważne ruiny Czorsztyna, tam z pośród gęstwy leśnej strzeliły w niebo baszty zamku niedzickiego, zarysowały się na horyzoncie ostre iglice Trzech Koron.

Ostatni etap naszej podróży minął szybko i wreszcie ujrzałyśmy Dworek Cisowy i Orle Gniazdo, witając nas migotliwemi światłami. Już zaraz nazajutrz zawarłyśmy znajomość ze wszystkimi mieszkańcami Dworku, a więc z gronem nauczycieli, z uczniami i uczennicami szkoły powszechnej i gimnazjum, z „pudłami“ dworkowemi, wreszcie z wiernym psiną Zbójem i z przemiłym osiołkiem.

Po śniadaniu czwórka silniejszych dziewcząt wybrała się na jednodniową wycieczkę. Jako najstarsza z nich, więc uzbroiwszy się z trudem w powagę, jako tako zorganizowałam wyprawę, której celem były Trzy Korony.

Prześliczna droga wzdłuż Dunajca doprowadziła nas do stóp skalistych zboczy stromych i barwnych, skąd trzymając się biało-zielonych znaków, rozpoczęłyśmy „zdobywać“ szczyty, raz po raz ślizgając się po zmarzniętym śniegu, padając co kilka kroków i rycząc ze śmiechu. Wreszcie weszłyśmy w prawdziwą krainę bajki, do jakiegoś zaklętego ogrodu. Przed nami roztaczała się dość duża polana otoczona lasem; gałęzie drzew uginały się pod ciężarem okiści, śniegowa pierzyna okrywająca ziemię nietknięta była niczyją stopą. W środku polany stał stary, rozłożysty świerk. Wiatr powiał po lesie, zaszumiały korony drzew i pochyliły czoła przed ojcem—świerkiem, ten szumem im odpowiedział a potem potoczyła się jakaś szeptem prowadzona między niemi rozmowa...

Czas naglił. Brnąc w śniegu po kolana, szłyśmy dalej. Droga stawała coraz węższa, wreszcie przebiegała ścieżyną ponad przepaścią —oddzielona od niej barjerą. Bez słowa, z zachowaniem wszelkich ostrożności, posuwałyśmy się powoli w górę—jeszcze kilka metrów i będziemy na szczycie!

Tymczasem mgły się podniosły i odsłoniły przed nami wspaniałą panoramę. U stóp naszych wiła się wstęga Dunajca ze swemi malowniczemi przełomami; w oddali bielały ostre granie Tatr, z przeciwnej strony zarysowały kopulaste szczyty Beskidów, bliżej — cały łańcuch skalistych Pienin.

— — — — — — — — — — — — — — —

Ciemno już było zupełnie, kiedy wróciłyśmy do domu.

Dni wolne od wycieczek spędzałyśmy na lodzie lub na saneczkach. O godzinie 7-mej dworkowej, czyli o „światowej“ 6-tej gromadziliśmy się wszyscy wokół kominka, na którym trzaskał wesoło ogień, podsycony przez Stasia. Godziny mijały na śpiewie lub słuchaniu jakiejś ciekawej opowieści. Innym znów razem odbywał się w Dworku teatr samorodny. Ile wtedy było śmiechu, ile gwaru!

Kilka wieczorów poświęcono grom polowym. Dając sobie znaki latarką, przedzierałyśmy się przez gęstwę leśną tak zręcznie i cicho, by mimo światła ujść pogoni.

Tak spędziłyśmy w dworku cudownych dziesięć dni i ze smutkiem musiałyśmy go żegnać, wracając do szarej, codziennnej pracy.

I. Niklówna III. kurs.

W okresie świątecznym w zakładzie otwarta była świetlica i czytelnia, w której codziennie kilka uczennic spędzało po parę godzin na czytaniu lub zabawie w gry towarzyskie. 26 stycznia uczennice II. kursu pod przewodnictwem p. Dr. Medweckiej zwiedziły muzeum Ks. Czartoryskich.

27 stycznia chór zakładowy wraz z chórem „Hejnał" pod batutą p. prof Blochowej odśpiewał mszę pastoralną Komora w Kościele św. Agnieszki.

28 stycznia odbył się koncert szkolny poświęcony współczesnej muzyce polskiej, na którym były uczennice kursu IV-go.

29 odbył się kulig kursu III-go do Przegorzał pod opieką pani Dr. Czerwińskiej i p. prof. Bukowskiej, a 30-go kulig II-go kursu, który pod przewodnictwem tychże pań nauczycielek i swej wychowawczyni p. Dr. Medweckiej, dotarł na Bielany.

W ciągu grudnia i stycznia Koła Krajoznawcze, przyrodnicze i artystyczne prowadziły dalej swe prace, ponadto w L. O. P. P. nastąpiło duże ożywienie.

Nowo zawiązane Kółko Sportowe pracuje pilnie i obiecuje w najbliższym numerze „Błysków" umieścić ciekawe referaty.

Nakładem Uczennic Prywatnego Seminarjum Naucz. Żeńsk. T. S. L.
im. Fr. Preisendanza
Wyd. i odp. redaktor Jadwiga Brodowiczówna.
Redakcja i Administr: Kraków, Groble 7.

Drukarnia Fadena w Myślenicach. — Telefon Nr. 2o.